NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPÓŁECZNY

REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

№ 32

WARSZAWA
DNIA 28 LIPCA 1912 R.

Wady mężczyzn.

W jednym z ostatnich numerów pisma francuskiego „Femina“ ogłoszone zostały wyniki ankiety w kwestji wad mężczyzn.

Odpowiedzi na pytania dawały kobiety, a z zestawienia ich orzeczeń wynika, że co do stopnia rozpowszechnienia, wady mężczyzn tworzą następującą tablicę:

1. Egoizm.
2. Zazdrość.
3. Niewierność.
4. Nieumiarkowanie.
5. Tchórzostwo lub podłość (lacheté).
6. Niemoralność.
7. Despotyzm.
8. Złość.
9. Chełpliwość.
10. Lenistwo.

Nie wiem, czy polki ułożyłyby tablicę wad mężczyzn w takim samym porządku, jak to zrobiły francuzki, niewątpliwie wszakże te same uczyniłyby im zarzuty.

Wady bowiem, wymienione przez pismo francuskie, są to wady ogólnoludzkie, właściwe wszystkim narodom i obu płciom w równej prawie mierze.

Gdyby mężczyźni dawali odpowiedź na ankietę podobną, te same wymieniliby właściwości, z dodatkiem naturalnie zalotności, próżności, a może i innych wad nieobcych mężczyznom, ale u kobiet występujących jaskrawiej. Jeżeli bowiem niema wad wyłącznie kobiecych, istnieje natomiast jedna wyłącznie męska, tak powszechna, że pozbawiony jej mężczyzna, jest bardzo rzadkim wśród swej płci wyjątkiem. W tablicy powyżej przytoczonej zajmuje ona miejsce dziewiąte. Gdyby wszakże kobiety dobrze znały mężczyzn, umieściłyby ją na pierwszem.

W języku francuskim nosi ona nazwę *fatuité*.

Wyraz ten w języku polskim ścisłego tłomaczenia nie posiada. Użyliśmy powyżej wyrazu chełpliwość, chociaż nie odpowiada on w zupełności francuskiemu *fatuité*.

Jest w nim bowiem obok chełpliwości i zarozumiałość i pyszałkowatość i fanfaronada i próżność i samochwalstwo i przesadne mniemanie o sobie, wszystkiego po trochu, a cel tej *fatuite* wywyższyć się po nad rzeczywistą wartość, nie bez pewnej dozy wewnętrznego o niej przekonania.

Niema mężczyzny, któryby nie był w mniejszym lub większym stopniu *fat*, szczególniej w sprawach miłości i męskiej odwagi.

Któryż mężczyzna nie miał szalonego szczęścia do kobiet? który nie opowie, przy zdarzonej sposobności, a nawet bez niej, o swych nadzwyczajnych zwycięstwach? A w okazjach życiowych, któż nie był bohaterem?

Już jako mały chłopak po powrocie ze szkoły opowiada młodszemu bratu lub siostrom, jak to on temu i owemu koledze „dał w łeb“, jak dzielnie odparł atak i pokonał napastników. Działo się wprawdzie odwrotnie, ale tymczasem mały Kazio gra w domu rolę bohatera.

A później imponuje żonie, opowiada znajomym, jak to on nauczył „rozumu“ swego zwierzchnika, jak to on w jakiemś miejscu publicznem skarcił nieprzyzwoicie zachowującego się gościa, jak interweniował w obronie słabego lub słabej, jak to on dzielnie sprawił się w swej pracy zawodowej, jakie to on ma znajomości, jakie to w podróży wielkie wywołał wrażenie, — jednem słowem zawsze Petroniusz i bohater!

Fredro z Papkina zrobił karykaturę; w życiu wszakże jest ich więcej, niż się zdaje; a już w każdym mężczyźnie jest coś z Papkina.

Pewien dowcipny kapitan strofował żołnierzy:

— Jak ty maszerujesz? a powróciwszy na wieś, będziesz dziewkom opowiadał, jaki to tu byłeś bohater!

Ten kapitan doskonale znał naturę męską i górującą w niej *fatuité*. Ale fanfaro-

nada nie ogranicza się na stosunkach prywatnych. Mężczyźni nadając ton życiu publicznemu, przelewają w nie swoje zalety i wady. Obok fanfaronady osobistej, istnieje zawodowa, społeczna, narodowa! Każdy zawód głosi swe zalety, których nie posiada! Każda grupa społeczna, każdy naród uważa się za najlepszy!

Fanfaronada, to czynnik bardzo poważny w stosunkach społecznych i narodowych! Tego kobiety francuskie, biorące udział w ankiecie „Feminy" nie wypowiedziały, co dowodzi, że kobiety oceniać umieją wady mężczyzn tylko ze stanowiska swoich cierpień, jako żon lub kochanek.

Gdyby jednak potrafiły spojrzeć na mężczyzn objektywnie, gdyby nie mierzyły ich sił miarą swojej słabości, przekonałyby się, że dotychczas mają nad mężczyznami jedną przewagę, a mianowicie: brak fanfaronady.

Powiedziałem: dotychczas.

Być może, że z biegiem czasu, kiedy kobieta zajmie w społeczeństwie stanowisko współrzędne z mężczyzną, kiedy, jak i on, szukać będzie zwycięstw i powodzenia nie tylko w dziedzinie miłości, ale i w innych dziedzinach życia, kiedy rozszerzy się zakres jej ambicji i pole walki, być może ilość fanfaronów się podwoi. Nawet i w takim razie wszakże kobiety nie dorównają zapewne mężczyznom, bo zawsze będą zachowywały pewną wstydliwość w miłości, a nigdy nie będą się pyszniły swoją siłą i odwagą. Kobiety będą więc zawsze fanfaronami drugiego stopnia.

Tembardziej jednak powinny pielęgnować prostotę, szczerość i skromność, te cnoty, które stanowią ich przewagę nad mężczyzną.

A przedewszystkiem powinny uświadomić sobie doniosłe znaczenie fanfaronady w życiu prywatnem i publicznem, świadomość ta bowiem jest przedewszystkiem konieczna dla zwalczenia niewątpliwego zła, jakiem jest męska *fatuité*.

Budnik.



I.

Przez niedomknięte drzwi wsunęła się cicho do gabinetu Kronickiego i pogrążonemu w tępem zamyśleniu położyła na kolana swój długi, rasowy łepek. Gdy zagadnął ją drętwem, mimochodnem spojrzeniem, odpowiedziała modlitewnym wyrazem wilgotnych ślepiów, poczem przymilnie wydłużyła śnieżną swą szyję, jakby oczekiwała, że obojętny dla niej od dni kilku przemówi nareszcie, pogłaszcze, poigra z nią — jakto do niedawna tak często bywało...

Ale Kronicki patrzył wciąż tępo przed siebie, trawiony jakimś zastygłym bólem wewnętrznym, cichym, utajonym, który zwarł mu palce w zmartwiałem ściśnieniu, nerwową, zygzakowatą bruzdą przeorał czoło, oczy zaszklił łzą niewypłakaną.

Ośmielona, że jej nie przepędza, szturknęła Aza swego pana kilkakrotnie końcem wilgotnego noska, krótkiem, kapryśnem szturknięciem. Potem widząc, że ani przymileniem ani kapryśnością nic nie wskóra, kornie odeszła w kąt pokoju. Tam, przysiadłszy na tylnych łapach, wlepiła w Kronickiego miękkie, pełne szczerego zafrasowania, spojrzenie, które w ludzkiej mowie znaczyło by niewątpliwie:

„Powiedz, coć jest, wypłacz się, ulżyj swemu strapieniu. Ale nie milcz tak tępo!"

Żywą z natury, nerwową, zmęczyło po chwili to trwanie w frasunku, więc poruszyła się niespokojnie, przeszła tam i z powrotem po dużym, mało umeblowanym pokoju, zajrzała tu i owdzie, pomyszkowała nieco, wreszcie, kwitując z pomylśnego obrotu swych odwiedzin, ułożyła się wygodnie na dywanie, z ciężkiem, jakby dla podkreślenia swego nieukontentowania, westchnieniem.

Odgłos żywej istoty zbudził Kronickiego z drętwoty, w której trwał od godziny t. j. od chwili powrotu do domu po kilku dniach nieobecności. Poruszył się niespokojnie, obejrzał się za siebie, wstał spiesznie. Spostrzegłszy psa, rzucił weń gniewnem spojrzeniem. Instynktem samoobrony wiedziona, wysłała Aza na zażegnanie wiszącego gromu modlitwę swego sarniego spojrzenia. Z tą modlitwą przyczołgała się pokornie pod nogi swego pana, jakby mu chciała powiedzieć:

„Czym to ja ci zawiniła? Za cóż mnie — — — ?"

Kronickiego poruszyła wymowa jej śle-

piów. Pohamował się, podszedł do drzwi i roztworzył je przez całą szerokość. Zrozumiała Aza tą odpowiedź i cicho wyszła z pokoju.

Ani nazajutrz ani dnia trzeciego nie udawało się jej zniewolić swego pana do okazania jej dawnych łask i faworów. Nie widział jej, gdyż patrzył na nią przelotnie, nie widział, nawet wtedy gdy patrzał chwilę. A gdy mu najlżejszym szelestem lub pomrukiem przypominała o swej egzystencji, przepędzał wnet z pokoju. Po tych kilku dniach beznadziejnych, w ciągu których Kronicki trwał uparcie w swej zmartwiałej tępocie, zeszła mu zupełnie z drogi, zaprzestała zaglądać do jego gabinetu, natomiast snuła się lękliwie po innych pokojach, zrezygnowana, samotna, cicha, skomląca jedynie modlitwą wilgotnych swych ślepiów.

Rezygnacja ta przecież nie była trwałą. Nie mogła nią być: zbyt nerwową, kapryśną i bujną była natura młodej, niespełna rocznej wyżlicy. Ruchy jej z dnia na dzień stawały się coraz niecierpliwsze, blaski w ślepiach gorętsze. Rrzekłbyś: pies lada chwila przemówi, rozwali zaporę milczenia, dowie się całej prawdy! Prawdy, od której przecież nie była daleką, którą lękliwym ale subtelnym instynktem wyczuwała, snując się z rozpaczną nudą po pokojach, gdzie tak niedawno jeszcze łaskotały je słuch wyostrzony ogniste szepty, to obwąchując sprzęty, na których tułały się jeszcze resztki drażniących zapachów o przedziwnej dla psiego węchu woni, która jej przecież tak dobrze była znajomą, za którą uczuwała instynktowną jakąś tęsknotę. To znów nagle przystawała wśród swych wałęsań i zdawało się jej, że z drugiego pokoju dolatują ją srebrne gamy śmiechu, których jej również od dni kilku brakowało. Biegła więc coprędzej w tym kierunku, lecz powracała zawiedziona. Wtulała się wtedy w kąt pokoju, udręczona zarówno samotnością, jak utajonym instynktownym lękiem. Ponurość nastroju i cisza, królująca od niedawna w mieszkaniu Kronickiego, kładły się ciężarem na żywy, bujny temperament młodego psa i odkradały mu radość istnienia na długie, samotne godziny... Pies dręczył się, cierpiał. Niewidzialna, tajemna nić ożeniła jego udrękę z tępem, niewyjaśnionem cierpieniem jego pana. Pies poddał się przecież tej udręce pokornie, jakby rozumiejąc, że każdemu cierpieniu, choćby najcięższemu, musi być kres.


Kompozycja graficzna.

Przesilenie nastąpiło niebawem.

Kronicki przepadł z domu znów na dni kilka, a gdy powrócił, z drętwej tępoty bólu pozostała w nim już tylko szczera, frasobliwa udręka. Już nie przepędzał Azy, gdy spotkał ją na swojej drodze, choć i nie przywoływał jeszcze do siebie. W obojętności tej wyczuła przecież rasowa wyżlica pewną miękkość, która nie była jej obcą, którą rozumiała doskonale. Wychowana w cieplarnianej egzystencji, w otoczeniu ludzi, nauczyła się Aza nietylko pojmować ludzkie wyrazy, nietylko odczytywać wymowę człowie-

czych spojrzeń i uśmiechów, ale poniekąd przejęła nawet zdolność zapamiętywania faktów i kojarzenia ich. Pamiętała więc, że podobnie obojętnym, a przecież miękkim bywał jej pan dawniej aż nazbyt często, zwłaszcza do dnia swej pierwszej nieobecności. I nie były to złe czasy dla niej. Przeciwnie... Bywała głaskana, pieszczona, wodzona na spacer. I gdy zdarzyło się, że pan ją, zburczał ostro za swawolę, inna ręka, miękksza, delikatniejsza o przedziwnej woni pieściła ją tak dobrotliwie, tak aksamitnie... Po zapachu już umiała rozpoznawać zbliżanie się tej miękkiej dłoni, choć odgłos kroków zaledwo słyszeć się dawał na schodach. Stawała wtedy przy drzwiach i cierpliwie, a raczej z niecierpliwością, wyczekiwała, rychło dzwonek rozebrzmi. Szeleściło coraz bliżej na schodach i Aza głośno podszczekiwała; w przedpokoju ukazywał się wnet jej pan i głaskał ją niby obojętnie, lecz dobrotliwie...

Dziś pan jej od rana zamknięty w gabinecie, a Azie coś się wydaje, że szelest lada chwila da się słyszeć za drzwiami. Czeka jednak, czeka, a dzwonek nie odzywa się wcale. Tymczasem zapach, ta drażniąca woń, tak dobrze jej znana, rozchodzi się po wszystkich pokojach. W przedpokoju tak go pełno, że Aza czuje niemal dotknięcie miękkiej, pieszczotliwej dłoni. Przebiega wszystkie pokoje, raz, drugi, trzeci — nigdzie zapach nie jest tak silny, jak w przedpokoju.

A dzwonek milczy.

Aza przenosi swe poszukiwania w drugą stronę. Tam, dokąd przez ostatnich dni kilka nie śmiała nawet węchem się zbliżyć— do gabinetu swego pana. Ale ośmieliła się i zaszczekała z radości. Już nie potrzeba jej szelestu ani dzwonka: zapach jest tam, w gabinecie jej pana. Szczeka więc Aza coraz głośniej, coraz niecierpliwiej, wręcz natarczywie, nie zważając zgoła, jakie gromy ściągnąć może za to na swą poniechaną psią dolę. Skowytem błaga swego pana, by jej otworzył.

Po parokrotnem ofuknięciu z za drzwi, ukazuje się Kronicki.

— Cicho! Poszła Aza!

Odtrąca ją ręką, sam zaś zmierza pośpiesznie w kierunku salonu. Aza korzysta z tego, wpada do gabinetu, przepatruje wszystkie kąty, syci swój węch, rozlewającą się po pokoju drażniącą wonią, potem śladem tej woni biegnie za swym panem. Z radosnym szczekiem przypada do rąk jego, jakby mu chciała odebrać niewielki pakiecik, wstążką przewinięty, który pan składa właśnie na krześle przy kominku.

Gotując się do rozniecenia ognia, Kronicki popatrzył gniewnie na szczekającą, wnet jednak gniew przeszedł w życzliwe zdumienie, to zaś w tkliwy, pełen rzewności podziw.

— Aza rozumie, Aza wie o wszystkiem! Moja Aza, moja, moja! Dobra Azuś...

Roztkliwiony w odwet, pies obskakuje radośnie swego pana, obszczekuje go, obskamla. Rzekłbyś, zobaczył go po kilkuletniem niewidzeniu.

— No, no, cicho, Azuś, cicho...

Kronicki głaszcze ją dobrotliwie jeszcze kilkakrotnie, potem lekko odsuwa ją od siebie. Gdy mu się jeszcze naprzykrza, odtrąca silniej, już z gniewem.

— Odejdź, Aza, nie przeszkadzaj!Odejdź!!

Aza odskakuje, natomiast chwyta w zęby leżący na krześle pakiecik i uchodzi z nim, niby z łakomą zdobyczą.

— Oddaj, oddaj to zaraz!

Rozsierdzony ton żądania pańskiego zostaje, choć z niechęcią — spełniony. Pies kładzie pakiecik z powrotem na krzesełko, nie przestaje jednak zabiegać to z tej, to z drugiej strony, jakby chciał się o coś zapytać, czegoś dowiedzieć. Uspakaja się dopiero, gdy słyszy niespodziewany syk ognia w kominku.

Zdziwiło ją to na moment, zastanowiło. Popatrzała bystro w ogień, potem przeniosła wzrok na swego pana. Kronicki odwraca wzrok, bo zdaje mu się, że czyta w jej ślepiach niemy wyrzut. Wychodzi z pokoju, w drzwiach zatrzymuje się, woła na nią. Posłuszna podbiegła ku niemu. Zatrzymuje się na chwilę w drzwiach. Kronicki z uczuciem zadowolenia czy tylko ulgi spogląda w kierunku dogasającego ognia. Pies przenosi pytający wzrok z kominka na spokojną, lekko już tylko ufałdowaną frasunkiem, twarz swego pana.

— Chodź, Aza, chodź, nie martw się... Tak być musiało, Azuś. Teraz będzie już dobrze...

Aza biegnie za Kronickim w niezdecydowanym nastroju, jakby nie dowierzała w zupełności słowom swego pana...

(d. c. n.)

* * *

29)

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Zrobiła pół kroku — i stanęła...

Była blada, ale królewsko piękna.

— To wy, mości wojewodo? obojętnym rzuciła głosem — —

— Nie spodziewaliście się mnie, Maryno? rzekł, zbliżając się pan Włodek — —

— A jakże miałam się spodziewać, gdy śniegi nieprzebyte zawaliły gościńce wszystkie — —

— Od Ogrodzieńca do Pilicy zasp nie ma — —

— Zmietliście?

— Tchem swej piersi —

— A mnie mówiono o chłopskich łopatach...

— ...któremi—przerwał wojewoda—przewodził rozkaz stęsknionego za wami serca — — A zresztą... Znacie przysłowie: nie ma złej drogi...

— Ooo!.. przerwała teraz Maryna — —

— Nie wierzycie?

— Zła droga była, nie było was tylko — — — Siadajcie!

Wskazała miejsce naprzeciwko siebie —

Stół ich rozdzielał — —

Wojewoda usiadł —

Posępny był.

Nie dotknęłyby go słowa Maryny, które miłąby nawet wymówką były za nieodwiedzenie jej podczas tak długo trwającej zawieji śnieżnej, gdy ona na wyczekiwaniu dni całe w tęsknocie a samotności trawiła, gdyby nie ono zimne: siadajcie! bez podania ręki, bez, choćby przelotnego, uśmiechu na twarzy; gdyby nie to wskazanie miejsca za stołem, który go od niej oddzielał; nie ta ciasnota zbrojowni, do której mu przyjść kazała, gdzie wilgoć, stęchlizna i chłód przejmujący źle wpływały na uczuć gorącość i na palpitację rozmarzonego serca.

Posępny więc był — —

Chwile panowało milczenie.

Dary, przywiezione dla Maryny, przed sobą na stole położył, iście królewskie dary — ale Maryna nie spojrzała na nie...——

Dawniej inaczej bywało!..

Jak gwiazdy zapalały się jej oczy, uśmiechem rozchylały się ust róże, same wyciągały się ręce, pierś poruszał okrzyk zachwytu.

A dziś?...

Pan Włodek uczuł skurcz serca i patrząc na nieruchomą twarz kochanki wyszeptał:

— Zazimno mnie witacie — —

— Chłodem i od was powiało — odpowiedziała Maryna.

Wojewoda porwał się — —

A dyć to prawda, że na klęczkach powinienem poczołgać się do was i czołem w one cegły uderzyć, nie bacząc, iż kobierców na nich nie ma!—Moja wina! moja wina! ale grzech ony stokrotnie nagrodzę i kajać się będę a prosić zmiłowania, zmiłowania niegodny!..

— Siadajcie!.. a nie prawcie mi o winie i kajaniu się, którego potrzeby nie widzę — rzekła Maryna, drobnymi palcami dotykając ręki pana Włodka, ale on uchwycił jej dłonie obie i do ust przycisnął.

— No dość, dość już tych pocałunków, panie wojewodo!.. ozwała się Pilecka.— Dziwnie one dzwonią w tej komnacie rycerskiej; nie dźwięcznie odbijają się od pordzewiałych oręży przodków dawno zmarłych, których duchy może tu błądzą w tej chwili i wydają rozkaz pójścia stąd precz Marynie niegodnej... Dość już, mości wojewodo! dodała, obie ręce usuwając z uścisków jego gorących.

Pan Włodek w połowie izby się zatrzymał, jakby czekał na podejście Maryny.

Co wam dziś jest? szepnął pan Włodek, ciężko opierając dłonie o stół.

— Co... mnie... jest?.. Gdybym sama sobie pytanie to zadała, nie znalazłabym odpowiedzi.

— I strój inakszy dziś u was, niż zwykle bywa—ciągnął wojewoda.—Patrzycie mi na ksienię jakiegoś klasztoru panien niepokalanych, nie na niewiastę światową, do której, nie zakonny wcale, uśmiecha się żywot.

— Kto wie, jaki mi los padnie!.. — westchnęła Maryna.

Wojewodzie się zdało, iż zrozumiał znaczenie słów tych. Niepewność przyszłości, niepewność małżeństwa z panem Włodkiem niepokoiły Marynę. Pochylił się więc i szepnął głosem pocieszenia:

— Dominisia z dniem każdym gorzej się ma...

Maryna wstrząsnęła się...

Przez czoło przesunął się obłok szary.

Owładnęło nią uczucie lęku, nieznane

do tej chwili, a przecie nie po raz to pierwszy pan wojewoda z podobną pociechą wyjeżdżał—i—nie trwożyła się; nawet odczytane epitafjum nie pozbawiło jej wesołości, śmiała się i rzuciła raz pytanie: a jakie po jej śmierci napisze?— Wiedziała dobrze, że zawładnęła umysłem i sercem lwa starego; że może z jej winy niejedną chwilę ciężką pani wojewodzina przeżyła—ale co ją mogło obchodzić nieszczęście czyjeś, gdy świat do około niej w tęczowych barwach wirował, pod stopy róże słał, dyszał ciepłem serc miłością rozgrzanych. u nóg się jej tarzał, oszalały czarem jej piękności a ona w motyli gon się rzucała?..

Dziś drgnęła — —

Od słów wojewody powiał zapach trupi, pomiędzy nim a nią przesunęła się postać Jasieńca, który duszę jej z uśpienia budził i szeptał cicho:

— „Łamałaś—dziś ciebie ja łamię!.. nie dawałaś nic z siebie a brałaś wszystko, aż otom ja przyszedł i sobą wypełniłem pustkę twojego serca i wziąłem je całe, wziąłem po wiek!.. Zechcę — niewolnicą będziesz moją i sługą!.. ale ci się nie poddam, bo kocham piękno, niepokalane niczem piękno!..

Coś załkało we wnętrzu Maryny, coś z jękiem głuchym zwaliło się w głębi jej duszy...

— „Chciej, tylko chciej! głos jakiś zawołał w pustym domu jej serca — a sługą będę twoją i niewolnicą będę twoją!“

— „A ten?.. a inni?—zadzwonił znowu szept Jasieńca.

— „Przyjdź.!. tamci precz pójdą!”

— „Do ciebie?.. nigdy!”—zapadł straszny wyrok potępienia w duszy Maryny.

I zrodził się bunt—i chęć walki—i pragnienie zwycięstwa.

Mgła przeszła, z nią rozwiała się postać Jasieńca.

Powieki Maryny szeroko się otwarły, jakby nagle ze snu zbudzone... Spojrzała... Ujrzała przed sobą szare ściany zbrojowni i przerażoną postać wojewody, rozszerzonemi patrzącego na nią oczyma.

Wstała—dźwignął się i pan Włodek...

Widoczne było, że chciał mówić, ale coś mu zdławiło krtań.

Dostrzegła to Maryna — —

— Wybaczcie mi—rzekła, przykładając dłoń do czoła, jakby chciała tym ruchem zetrzeć myśli jeszcze ją nawiedzające — — Wybaczcie, że nie witam was tak, jakby może należało... ale—sny ciężkie miałam dzisiaj, które mój umysł z równowagi wybiły i przytłoczyły kamieniem pierś moją.

— Cięży wam ta suknia tak nieodpowiednia piękności waszej, zaduch tej izby gniecie pierś waszą—odezwał się wojewoda.

— Zbrzydłam... od tej sukni — rzuciła Maryna.

— Nie masz stroju was szpecącego, od piękności waszej i ten waloru nabiera... Ale ja nie poznaję was!

— Cóż mam czynić?

Krew zagrała na policzkach wojewody, pochylił się i rzucił gorąco:

— Te perły wziąć i na obnażony płaszcz ramion swoich rzucić, dyamentem tym ukoronować królewski warkocz swych włosów a sercu pozwolić grać a ustom śpiewać!... Dla ciebie, Maryno! te perły, ten dyadem, dech mej piersi dla ciebie, dla ciebie mojego żar serca!..

Drżącymi palcami dary ujął i zbliżył je do nieruchomie siedzącej Maryny.

Nie poruszyła się, nie wyciągneła rąk—

Z djamentów gwiazdy się sypią, w perłach gra morze... Mienią się tęcze; palą się ognie barw niewidzialnych; — seledyn przechodzi w biel mleczną, czerwień mdleje w przezroczach kryształów; a wszystko lśni, błyska, kipi, ognistą piersią oddycha.

Wzrok Maryny mgłą się pokrył, nie widzi tych czarodziejskich klejnotów.

W sercu wojewody zakipiał gniew...

— Przecie nie ciśniesz precz — ściśniętemi wyszeptał usty—tych darów moich!

— Ino nie wezmę—odpowiedziała zimno.

— Zali nie brałaś? — zacharczał wojewoda —

— Zadużo nawet —

— Maryno — zawołał i porwał się ku niej.

— Mości panie! — krzyknęła, wyrywając się z ramion ją otaczających.

Skoczyła w bok, ale wojewoda pomknął za nią; wionęła ku drzwiom—od drzwi ją odsadził; rzuciła się za kobylicę, objuczoną starym rzędem rycerskim, ale pan Włodek kloc drzewny na ziemię zwalił i był już przy niej.

(d. c. n.)

SERRES CHAUDES.

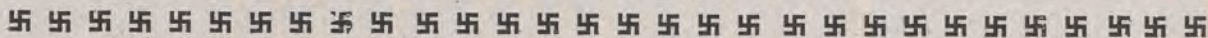
Amen
Oto czas błogosławić w tej chwili
Sen cierpiących wciąż niewoli męki,
Aż swe ręce on — czekam — wychyli,
Strojne w białych, piwnicznych róż pęki.

Czekam oto tchnień jego, bo pragnie
Moje serce, co podstęp odtrąca;
Paschalnego baranka na bagnie,
Ran, co na dnie ma woda gorąca.

Czekam nocy, co są bez świtania,
Zła, co moc go nie zwalczy niczyja,
Jego cień niech mi ręce osłania,
Jego lice się w wodzie odbija.

Czekam, aż mnie noc patrzeć ośmieli,
Jak twarz pragnień zwilżona zostanie,
Widzieć snów o wieczornej kąpieli
W lodowym pałacu konanie.

Maurice Maeterlinck.



W przeddzień 1812 roku.

W pięknem, lecz kruchem i słabem ciele cesarzowej mieszkał potężny duch, w jej żyłach płonęła południowa gorąca krew, a było to źródłem mnogich niepokojów dla Napoleona. Dla teściowej swej był on zawsze z bajeczną rewerencją, ceniąc jej rozum, smak i charakter, uważając ją zawsze za zajmującą i nader powabną. Siłą swej duchowości cesarzowa, jeżeli nie zwyciężała, to w każdym razie obezwładniała Napoleona; drażniło go chłodne jej zachowanie się wobec niego, starał się też usilnie podbić ją nie tylko w polityce, lecz i w stosunkach osobistych. Starania te nie mogły ujść uwagi otoczenia i cały świat obserwował z ciekawością, jak władca Europy usiłował zawładnąć jeszcze kobietą, która pod względem szlachetnego nastroju myśli i nieugiętej energji przewyższała o głowę całe swe otoczenie. Ale wszystkie usiłowania Napoleona były bezowocne; cesarzowa austryjacka poddawała się w Dreznie jeno konieczności i nie uczyniła ani jednego kroku, któryby stwierdzał, że choć nieco ulega zabiegom swego zięcia. „W odpowiedzi na komplementy cesarza tylko od czasu do czasu rzucała parę słów, wygłaszanych z godnością i nie bez wyniosłości, albo wręcz odpowiadała ledwie że dostrzegalnymi oznakami zniecierpliwienia“.

Lecz, jeżeli cesarzowa, nie bacząc na dotkliwe zrządzenia losu, zachowywała wyniosłość i spokój ducha, nigdy nie mogła uczuć, panujących w jej duszy, wpoić w swego małżonka, który, jak o tem pisała do arcyksięcia Jana „był nieszczęśliwy na skutek braku energji“. Oto co pisała w kwietniu 1809 roku, kiedy straszne ciosy, wymierzone w Austrję pod Wagram i t. d. zniweczyły wszystkie nadzieje i jej samej i jej partji: „Ja zostaję i zawsze zostanę taką samą, jaką byłam; żadne nieszczęście, żadna klęska nie doprowadzi mnie do upadku na duchu. Mój obowiązek będzie mi świątynią do samej śmierci“. Po zawarciu pokoju w Schönbrunn cesarzowa została odosobniona: jej małżonek był cały zakrzątnięty myślą o stumiljonowej wojennej kontrybucji, którą winien był uiścić Napoleonowi, a stronicy cesarzowej, tak nazwana partja wojny, zostali usunięci od wszelkiego wpływu na sprawy państwowe. Rząd austryjacki przyjął system hrabiego Metternicha, którego cała mądrość wypływała z bezgranicznego tchórzostwa i braku charakteru; umiał on przekonać cesarza, że ocalenie Austrji polega na zarzeceniu się wszelkich związków z patryjotami, grupującymi się koło arcyksięcia Jana; od tego czasu wszystkie osoby należące do *Tugendbundu* poczęto uważać w państwie Austryjackiem za jakobinów i szpiegi policyjne nieustannie śledziły ich kroki. Cesarzowej nie starczyło sił do walki z systemem Metternicha, nie mniej jednak została wierną swym przekonaniom i była w Dreznie jedyną, ale godną przedstawicielką prawdziwie cesarskiej wielkości i niepodległości ducha.

Za to pomiędzy cesarzem Franciszkiem a jego cesarskim zięciem ułożyły się jaknajlepsze przyjazne stosunki. Pojętny uczeń szkoły wojskowej z Saint Cyr, nie bez wielkiej dla siebie korzyści przeszedł również dworską szkołę starych europejskich dynastji. Wprawdzie nieraz, kiedy panujący jego wasale próbowali przeczyć mu lub ujmować się za prawa swych poddanych, wpadał w niepohamowaną złość i, nie umiejąc się poskromić, jak prawdziwy plebeusz, zachowywał się po grubjańsku i wysoce obraźliwie. Ale równocześnie starał się usilnie naśladować obyczaje panujących dynastów i kiedy *bawił się w cesarza,* to mógł w znajomości dworskiego ceremoniału pójść o lepsze z pierwszym lepszym dworakiem osiemnastego wieku. Spokrewnienie z Habsburgami wnet mu do tego stopnia weszło w krew, że się najzupełniej poczytywał za człowieka, który wyszedł z ich rodziny, a nawet nazywał zazwyczaj nieszczęsnego Lud-

wika XVI-go *mon pauvre oncle,* opierając się na tem, że Marja Antonina była ciotką jego żony. Pozwalał swemu teściowi doznawać jaknajwyższej radości, tocząc z nim rozmowy w wielokrotnych politycznych materjach i, jak to miewał we zwyczaju, roztaczając przed nim odległe, ale pociągające horyzonty. I wtedy to cesarz Franciszek rozpowiadał z wielkiem zadowoleniem, że tak we dwu dochodzili do pewnych postanowień w wielu sprawach, o których nawet sam Metternich niema wyobrażenia. Były Cesarz Świętego Państwa Rzymskiego pysznił się zaufaniem niedawnego parweniusza.

Pod sam koniec owej paradnej komedji stawił się w Dreznie i król Pruski, którego Napoleon powitał radośnie. I jakże nie miał być zadowolony: toż Fryderyk Wilhelm IV-y był jednym z najdumniejszych i najbardziej poniżonych niewolników, haniebnie idących za tryumfalnym rydwanem zwycięzcy. Ale w duszy króla pruskiego odgrywała się naówczas okropna tragedja: czuł on doskonale, że, przyłączając się do Napoleona, staje się tem samem wrogiem najlepszych przedstawicieli swego narodu, którzy żywili nadzieję, że Prusy pójdą ręka w rękę z Rosją i w ostatecznej rozpaczliwej walce jeszcze raz sprobują albo odzyskać utraconą wolność i zrzucić hańbiące jarzmo, albo zginą bohaterską śmiercią. Myśli te niewątpliwie wichrzyły się w duszy Fryderyka Wilhelma IV-go, kiedy szedł ręka w rękę z mocarzem, który raz po raz powalił go do nóg swych, haniebnie upokorzył, a na domiar złego umiał jeszcze w Królewcu wystawić na sztych honor jego, jako małżonka uroczej Luizy. Ale na zejście z owej cierniowej drogi nie stawało królowi pruskiemu mocy ducha.

* * *

Nocą z 28 na 29 maja, w zamku drezdeńskim wszczął się wielki rwetes: koło podjazdu i po schodach snuli się pośpiesznie oficerowie głównej kwatery cesarskiej, adjutanci, ordynansy, koniuszowie. Napoleon wyszedł z wewnętrznych komnat, zatrzymał się na chwilę w sali, dla przyjęcia ostatnich życzeń i wyrazów oddania się od króla saskiego, Fryderyka Augusta, poczem jeszcze raz uścisnął Marje Ludwikę i ruszył w drogę. O piątej rano jego powóz już mknął po szosie, otoczony konnym konwojem, który z głuchym odgłosem kopyt i szczękiem oręża towarzyszył cesarzowi do rosyjskiej granicy.

Już po paru dniach spotykamy go nad brzegiem Niemna. Wielka armja przeprawia się przez rzekę. Cesarz od godziny trzeciej rano jest już na koniu i objeżdża wojska, wszystkim dodając ducha... Iżby mu dogodniej było przyglądać się przeprawie żołnierze przygotowali dlań koło drogi tron, ułożony z gałęzi i darniny, przykryty liśćmi. Ale Napoleon i minuty nie wysiedział na owem zaimprowizowanem siedzisku: nie mógł na miejscu usiedzieć, opanowała go potrzeba ruchu. Widok szeregów, rozwijających się przed jego oczami, przeświadczenie o swej potędze, wiara w swoją gwiazdę — wszystkie te uczucia nanowo pierś mu wypełniają spokojem, błogością i uciechą. Bawi się szpicrutą i poczyna nucić:

Malbrough s'en vaten guerre...

Nieprzerwanym łańcuchem ciągną wojska, oddział za oddziałem, naród za narodem. Przez dwie doby, przez całe czterdzieści osiem godzin, w dniach 24 i 25-go czerwca trwa ów niebywały ruch masy zbrojnych ludzi. A każdy z nich tak jest ochoczy, tak wesoły, tak głęboko oddany temu małemu otyłemu człowieczkowi. Nawet zakamieniali wrogowie Francji,—prusacy, hiszpanie, słowianie z brzegów Adrjatyku, gwałtem wcieleni w szeregi wielkiej armji,—nawet i oni poddają się teraz jego urokowi. Nienawidzą go, a jednak idą za nim, a w ich duszach budzi się dumne uczucie na myśl, że będą walczyć pod komendą takiego wodza; wiedzą oni dobrze, że jedno słowo uznania z jego ust raz na zawsze zaszczytnie ich odznaczy. Co się zaś tyczy francuskich żołnierzy i starych i młodych, to ci są bezwzględnie oddani swemu cesarzowi; ci święcie w niego wierzą, jak zaczarowani; a w nagrodę za wylaną dlań krew spodziewają się od swego cesarza wszystkiego: niesłychanych skarbów, nieustannych tryumfów i rozkoszy.

Oto wielka armja jest już w Wilnie, które co dopiero porzucił cesarz Aleksander. Rosyjskiej armji nie widać. Snać już rozpoczęła swoje rejteradę, tak zgubną dla francuzów. W półmiljonowej zwartej masie wielkiej armji już się poczynają zamieszki. Z dnia na dzień powiększa się nieporządek i osłabienie dyscypliny. Zaczyna lać, jak z cebra, całemi dniami, nieskończony wskroś przenikający chłodny deszcz. Ludzie drżą, konie padają tysiącami. W jakiejś zapadłej wioszczynie, w okolicach Wilna, cesarz dosiada białego konia i, objeżdżając wojska, w zadumie spogląda na posępny las i pola, rozmiękłe pod deszczem. Wilgotny chłód wskroś go przenika, po mundurze ścieka woda; kapelusz przesiąkł nią i z jego skrzydeł spadają ciężkie, jakby śpiżowe krople na szary surdut. I oto Napoleon zetknął się już z jednym z owych niezwyciężonych wrogów, o których mówił Coulaincourt,—z klimatem.

Jeszcze pewien czas upłynie, a do Wilna przywlokło się omdlałe, obszarpane nędzne szczątki tego, co się mianowało wielką armją, pozostawiwszy za sobą 330000 zabitych, albo z litości wziętych do niewoli. Ale z powrotem przejdą oni Niemen już bez ubóstwianego cesarza: w Smorgoniach porzucił on ich, na pastwę bezlitośnego losu.

Władysław Nawrocki.



Nowe Krematorjum w Aarau (Szwajcarja)

wybudowane według planów budowniczego Alberta Froelich z Charlotenburga, w środku miejscowego cmentarza, kosztem Towarzystwa Kremacyjnego kantonu Argowji, funduszów prywatnych i subsydjum kantonu i miasta Aarau.

KREMACJA.

(Palenie ciał zmarłych).

Doniosłą i niepozbawioną wielkiej przyszłości sprawą palenia ciał zmarłych bardzo mało i rzadko zajmowano się u nas. Dopiero w ostatnich czasach pewne grono zwolenników kremacji podniosło tę sprawę i pragnie z dziedziny teorji przejść nareszcie do jej praktycznego zastosowania. Nie przesądzając bynajmniej tych usiłowań, pragnę jedynie w kilku słowach spopularyzować samą sprawę, która jeżeli jeszcze dziś nie jest kwestją palącą, to w każdym razie w niedalekiej już przyszłości stanie się jedną z najżywotniejszych spraw społecznych.

Obojętność z jaką do dziś dnia szerszy ogół traktuje powyższą sprawę przypisać należy po części naszym przesądom, głęboko, pomimo wszystko, zakorzenionym jeszcze wśród nas, a po części wrodzonej niechęci zastanawiania się nad wszystkiem, co tylko odnosi się do realnej strony śmierci.

Szerokie masy naszego społeczeństwa, niewyłączając nawet sfer wyższej inteligencji, niechętnie przyjmują myśl kremacji. Nic w tem dziwnego: do grzebania ciał zmarłych przyzwyczailiśmy się od wieków, natomiast palenie ciał zmarłych razi wielu z nas dlatego jedynie, że jest ono nowością, burzącą uświęcony wiekami zwyczaj rozstawania się z ciałami zmarłych za pomocą grzebania ich w ziemi.

Grzebanie jednak ciał nie jest w rezultacie niczem innem, jak tylko *powolnem ich paleniem*, wymagającem co najmniej pięciu lat, podczas których rozkładające się ciało wywiera nader szkodliwy wpływ na zdrowie żyjących. Stosując zaś system kremacji, czyli palenia zwłok za pomocą ognia, dochodzimy do tego samego rezultatu, tylko że cały proces ten trwa niespełna godzinę i nie pociąga za sobą żadnych szkodliwych następstw dla żyjących.

Wogóle biorąc, jeżeli mamy więcej przeciwników kremacji, niżeli sam konserwatyzm ich wytwarza, to przypisać zmuszeni jesteśmy ten objaw — mniemaniu, jakoby zwyczaj palenia ciał miał się sprzeciwiać wierze chrześcijańskiej.

Przeglądając jednak naukę Chrystusa nie znajdujemy nigdzie wzmianki o sposobie grzebania umarłych. Owszem ewangieliści jednobrzmiące dają nam świadectwa o pewnego rodzaju abnegacji i lekceważenia przez Chrystusa *materjalnej strony zmarłego*, skoro synowi nawet nie zezwala na taką zwłokę, aby mógł pogrzebać ojca swego, lecz każe mu iść za sobą, mówiąc: *„Pójdź za mną, a dopuść umarłym grześć umarłe swoje"* (Mateusz Rozdz. XIII w. 21 i 22). Toż samo u Łukasza w Rozdz. IX w. 59: *„Panie! dopuść mi pierwej iśdź y pogrześć ojca mego"*, a Jezus Chrystus mu odrzekł: *„Niechay umarli grzebią swe umarłe, a ty idź"*.

Zwyczaj grzebania umarłych przyjęli chrześcijanie od izraelitów. Prześladowane pierwotne chrześcijaństwo niemiało ani czasu, ani myśli zajmować się tą kwestji; przyjęło system do którego było oddawna wzwyczajone, nie przypisując mu żadnego ważniejszego znaczenia.

Zmartwychwstanie duchowe jest dogmatem szczytnym. Ale czy umarły zostanie zamieniony na popiół i gazy przez spalenie (kremację), czy też przez długi pobyt w ziemi zostanie rozłożony na gazy i niższe organiczne istoty, — fakt zmartwychwstania zarówno w jednym, jak w drugim wypadku nieprzestaje być wzniosłym dogmatem. Czyż ani Joanna d'Arc, ani Huss, ani wielki mistrz templarjuszów Molay, ani tylu innych w jakikolwiek bądź sposób spalonych nie miałoby zmartwychpowstać?

Przeciwnicy palenia ciał zmarłych zarzucają jeszcze temu systemowi pozbywania się ciał zmarłych, tą wielką, na pierwszy rzut oka, niedogodność, że przy powszechnem użyciu go, zbrodnia otrucia, jako łatwiejsza do ukrycia, bardziej by się rozpowszechniła.

Wobec jednak obowiązujących wszędzie przepisów prawno-policyjnych, wymagających przy spisywaniu aktów zejścia, świadectwa lekarza na jaką chorobę zmarł chory, argumentacja ta nie wytrzymuje krytyki. W razach przytem wątpliwych i w wypadku bodaj najmniejszego podejrzenia otrucia, możnaby zastosować obserwacje *spektroskopijne* nad produktami gazowymi, wydzielającymi się z ciała poddanego spaleniu. W ten sposób wszelka obawa ukrycia zbrodni otrucia przy paleniu ciał jest zupełnie wykluczoną.

Jedynym ważniejszym i mającym pewne podstawy, zarzutem przeciwko kremacji jest strona praktyczna. System ten wymaga stosunkowo znacznych nakładów, gdyż budowa pieców (Columbaria) jest kosztowną, a utrzymanie ludzi do ich obsłu-

gi w miejscowościach mniej ludnych jak np. na wsiach i w osadach byłoby nadmiernym dla ludności ciężarem.

Nie można jednak wątpić, że z czasem i ta niedogodność pod wpływem zmian w ustroju społeczno-ekonomicznym usuniętą zostanie. Nastąpi to jednak nie prędko.

Zwyczaj przez kilkadziesiąt wieków praktykowany nie da się odrazu usunąć. Z jednej strony miljony ludzi musi pozbyć się przesądów, z drugiej warunki społeczno-ekonomiczne, o których wspominałem, muszą się tak gruntownie zmienić, aby system kremacji okazał się nietylko jedynie racjonalnym, ale i powszechnie dostępnym pod względem materjalnym.

S. C.



TEATR MAŁY.

„Miód kasztelański“

J. I. Kraszewskiego.

Teatr Mały wystawił dla p. Popławskiego, artysty teatru lwowskiego, krakowskiego i wileńskiego, sztukę tego, który „Polskę nauczył czytać“—„Miód kasztelański“ Kraszewskiego.

Rola Sołoduchy jest rzeczywiście popisowa i p. Popławski gra tego polskiego Tartufa rzeczywiście świetnie. Układny, uległy, hipokryta, ambitny, dworkowy dyplomata, rezydent i pełnomocnik pani cześnikowej tak sprawami kieruje, aby młoda jeszcze kobieta nie wyszła za mąż za sąsiada, żeby nie wyszła zamąż wcale, albo za niego, za pisarzewicza, sługę Sołoducha.

Przybyły w gościnę do siostry cześnikowej jej brat, rotmistrz Kaniowa, zręcznie krzyżuje plany domowego płaza i doprowadza do ośmieszenia Sołoduchy.

Całość wypada nie świetnie, ale sceny, w których bierze udział p. Popławski wzbudzają najwyższe zajęcie.

Gr.

TEATR W LESIE.

Bardzo ciekawą próbę uczyniono w Zoppotach. W lesie podmiejskim wystawiono operę Smetany „Sprzedaną narzeczonę“. Nie jest to pierwsza i jedyna próba na otwartem powietrzu, ale zazwyczaj grano dotychczas tragedje; właśnie opera t. j. śpiew z muzyką lepiej się nadaje do takich przedstawień — i większa liczba słuchaczy może korzystać z widowiska. Cztery tysiące miejsc siedzących, nie licząc stojących — mogło oglądać przedstawienie.

Kurtynę stanowi sztuczny żywopłot, rozsuwający się na dwie strony; między kurtyną zaś a widownią — wykop, w którym mieści się orkiestra. Odgłos trąbki zawiadamia publiczność o początku każdego aktu. Kurtyna się otwiera punkt o siódmej. Jest to jeszcze zupełnie widno. Publiczność szczelnie wypełniła trybuny, urządzone amfiteatralnie.

Na scenie mamy prawdziwą karczmę, prawdziwy las i zabawę wiejską. Dwieście osób przyjmuje udział w sztuce. Wysokie, w niebo strzelające sosny, zapełniają całą prawie scenę, a w ich cieniu różne stragany, huśtawki, nawet słup z nagrodą — dają wrażenie natury. Orkiestra gra prześliczne melodje Smetany, które się tu szeroko rozchodzą po powietrzu, a wtórzą im ptaki leśne, mimowoli podnosząc koloryt muzyki. Nadjeżdża prawdziwy wóz półtoraczny, zaprzężony w prawdziwe konie, pełny barwnie ubranych dziewcząt i quasi-muzykantów w czerwonych szamerowanych ubraniach. Raz jeszcze przyjeżdża powóz, zaprzężony w konie; woźnica trzaska z bicza i staje pod karczmą, z powozu wysiada bogaty chłop Micha z żoną Agnieszką oraz Kezal swat, który chce śliczną Marysię wydać za ich syna Wencla.



Stanisława Wysocka
rozpoczyna gościnne występy w teatrze Letnim.



I. Popławski jako Sołoducha.

Na scenie ruch kolosalny, bo w czasie głównej akcji—między Marysią, Jankiem, swatem, Wenclem i t. d.—karczma i plac igrzyskowy są pełne życia i gry istotnej, gdy w zamkniętym teatrze w takim razie chór i statyści zwykle milczą i nieruchomo czekają swej kolei.

Tu reżyserja bardzo zręcznie wywiązała się z zadania. Scena na chwilę nie zostaje bezwzględnie pustą; przy straganach dziewczęta kupują cukierki i korale, na huśtawkach zakochane pary bujają się w powietrzu, dzieci się gonią i swywolą; w karczmie starszyzna spija dzbany piwa, młodzież karczmareczkom figle płata; strażnik kłóci się z jakimś natrętnym żebrakiem, wreszcie go z karczmy wypędza; jakaś zakochana para chyłkiem z towarzystwa uchodzi i znika w zaroślach i t. d. Słowem choć

i statyści realnie grają i, gdy snuje się wątek sztuki, nadają mu tło życiowe, tymczasem las sosnowy nadaje nowe piękne tło sztucznemu życiu scenicznemu; nad całą tą grą kolorów, nad tym ruchem, nad tą muzyką, nad lasem sosnowym, nad publicznością—unosi się czyste, bezchmurne niebo. Powoli szarzeje i wówczas zapomocą światła elektrycznego nowe efekty świetlne ukazują się na scenie. Obok tego zmierzchu realnego—sztuczny zmierzch rozchodzi się po lesie (t. j. na scenie), a długie cienie sosen kładą się na ziemi.

Wrażenie wprost baśniowe — i zdaje się, że jeszcze lepiej nadawać się będzie do takiego wystawienia druga zamierzona tu sztuka: „Jaś i Małgosia" Humperdinka.

Przypominam sobie, że przed paru laty w Ojcowie był zamiar urządzenia podobnego teatru w Korytańskiej dolinie, ale zdaje się, że o tym projekcie zapomniano. Co prawda dojazd do Ojcowa jest też dość karkołomny. Możeby jednak próbę taką zrobić w Zakopanem.

Antoni Lange.

Zoppot (Soboty), w lipcu.



O tytułach wogóle, a o hrabiach papieskich w szczególe.

„Roi ne puis, prince ne daigne—Rohan suis!"

Ta dumna dewiza znakomitego francuskiego rodu Rohanów posiadała u nas, w dawnej Polsce blizką parantellę w przysłowiu „Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie".

Eques polonus (rycerz polski) był tytułem wyższym po nad książęcy.., tak przynajmniej mniemało rycerstwo polskie i dobrze było w Polsce, dopóki tak mniemano. Atoli z zachodnią cywilizacją i kulturą wdzierać się zaczęły w granice Rzeczypospolitej również zachodnie zwyczaje i obyczaje z całym szeregiem czczych form i błahych konwenansów.

Rycerstwu naszemu zaczęły uśmiechać się cudzoziemskie tytuły diuków, grafów i baronów, tak bezsensownie, wbrew naszemu ustrojowi społecznemu, wbrew kardynalnej zasadzie równości szlacheckiej, przeszczepiane na nasz grunt. Doszło do tego, że stany sejmujące w 1638 r. zmuszone zostały specjalną konstytucją zabronić wprost używania i starania się o tytuły cudzoziemskie, gdyż wielu bardzo z panów polskich poczęło bądź zupełnie samowolnie, bądź z nadania obcych monarchów, używać różnych tytułów honorowych.

Konstytucja z r. 1638 została powtórnie uchwaloną na sejmie w 1673 r. z tem obostrzeniem, że nieposłuszni jej, karani będą infamją. Dopiero za czasów Stanisława Augusta, gdy już zaczęły się walić fundamenty naszego ustroju politycznego i społecznego—stany sejmujące uczyniły wyłom w zasadniczem prawie o równości szlacheckiej i wbrew konstytucjom z 1638 i 1673 r. nadały na sejmie tytuły książąt: braciom króla, Sapiehom, Adamowi i Kalikstowi Ponińskim i Massalskim.

Bądź co bądź tytuły honorowe u nas czy to nadawane przez obcych monarchów, czy też samowolnie przybierane, żadnego absolutnie znaczenia nie posiadały i były bardzo niepopularne.

Jako bardzo znamienna ilustracja, co faktycznie znaczyły u nas tytuły honorowe, może posłużyć fakt, że znany z historji magnat Franciszek Salezy Potocki, wojewoda ruski (nie posiadający tytułu hrabiowskiego, bo wówczas nie śniło się Potockim o tytułach) miał w swej służbie dwuch utytułowanych oficjalistów: marszałkiem jego dworu był autentyczny książe, a koniuszym również autentyczny galicyjski (austryjacki) hrabia.

Aliści ze zmianą bytu politycznego w Polsce, gdy mocarstwa rozbiorowe poczęły wprowadzać nowy ustrój państwowy i społeczny w swoich zaborach, instytucja tytułów honorowych u nas nabrała powoli tego samego znaczenia, co i w innych państwach. Wyższa szlachta polska (dawne rody senatorskie) została obdarzoną przez rządy rozbiorowe tytułami: hrabiowskiemi lub baronowskiemi.

O ile z początku rządy mocarstw rozbiorowych dość chętnie nadawały owe tytuły szlachcie polskiej, o tyle począwszy od drugiej połowy zeszłego stulecia coraz to skąpszymi stawały się pod tym względem, szczególnie Prusy i Rosja. A tymczasem cały szereg rodzin szlacheckich, dorobiwszy się fortun, lub pozyskawszy je drogą bogatych aljansów, zapragnęły również zakosztować rozkoszy... *dziewięciu pałek* (w koronie). Nie mogąc zaś ich uzyskać od swoich rządów, zwróciły swe... nabożne życzenia do Papieżów, którzy od chwili utraty władzy świeckiej, jakby przez ironję, zaczęli kreować *en masse* hrabiów.

Oczywiście nowokreowani hrabiowie papiescy jedynie na bardzo szczupłem terytorjum Watykanu mogą zupełnie *prawnie* i w całej pełni rozkoszować się swojem hrabiostwem, *żadne* bowiem państwo nigdy nie uznało u siebie tego rodzaju tytułu, nadanego swemu poddanemu.

Posłuchajmy wreszcie, co mówi o tytule hrabiowskim papieskim niedawno zmarły badacz heraldyczny i genealogiczny, autor wielu dzieł w tej dziedzinie, Jerzy Sewer hr. Dunin-Borkowski w ostatniem swem dziele p. t. „Almanach Błękitny".

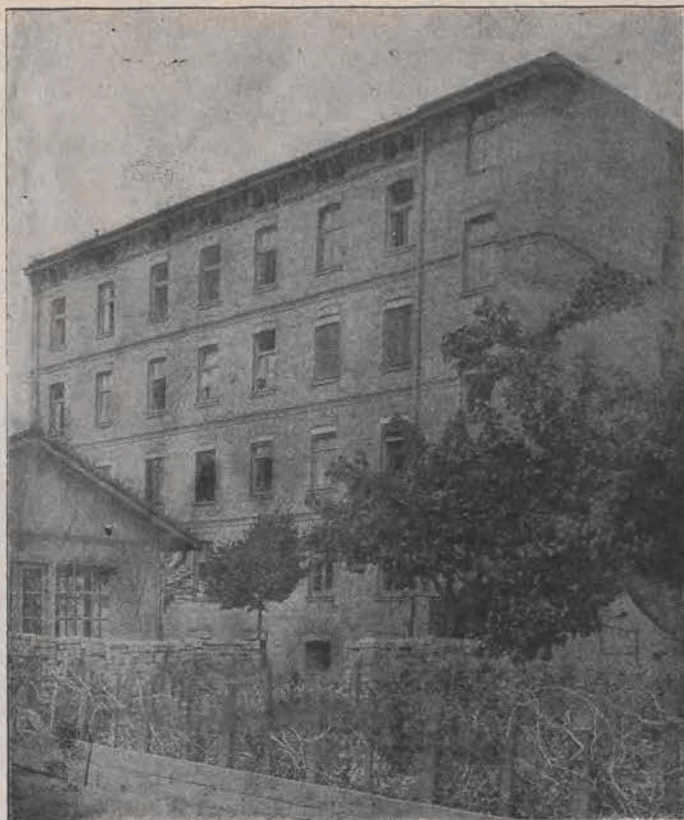
...„Rodzin hrabiowskich umieściłem 122, w tem 19 wygasłych po mieczu. Podałem rodziny uznane jako hrabiowskie w różnych państwach, z wyjątkiem hrabiów papieskich (conte papalis), gdyż ten ostatni tytuł jest właściwie tylko najniższym stopniem uszlachcenia, nadawanym osobom nawet nieszlacheckiego pochodzenia, a tem samem dopiero przez to nobilitowanym. To też przez rządy panujące nie bywa uznawanym i tylko wolno go używać jako godność, czyli dystynkcję poza właściwem nazwiskiem. Że zaś cała szlachta polska należała do stanu rycerskiego, już tem samem wyższą posiada godność..."

Z powyższego łatwo wywnioskować, że instytucja tytułów honorowych zasadniczo jest obcą dawnemu polskiemu ustrojowi społecznemu i jeżeli tytuły te wyrobiły sobie u nas obecnie w pewnym stopniu prawo obywatelstwa, to jednak nie przestały mieć charakteru cu-

dzoziemskiej naleciałości, zaniesionej do nas w czasie burzy i nawałnicy dziejowej, jaką kraj nasz przeszedł w końcu XVIII wieku. *S. C.*

Przytułek rzemieślniczy.

Śród licznych instytucji, jakie zwiedzali uczestnicy pierwszego zjazdu szewców, na wyróżnienie zasługuje niewątpliwie przytułek dla weteranów-rzemieślników i robotników fabrycznych, mieszczący obecnie 48 pensjonarzy. Krótki rzut oka na dzieje rzeczywistego przytułku wskazuje dowodnie, do jak poważnych wyników dochodzi się, przy drobnych zresztą środkach, byle wspólną, zorganizowaną pracą. Podejmując też w piśmie naszem akcję, którąby na celu miała uspołecznienie warstw jaknajszerszych, sięgając aż do najniższych nawet, pragniemy tu przytoczyć w krótkości dzieje zainicjowania i powstania tego właśnie przytułku.



Przytułek rzemieślniczy przy ul. Młynarskiej.

Przytułek przy ul. Młynarskiej powstał w r. 1896 z inicjatywy p. M. Kłyszewskiego, szewca i składnika skór. Inicjator jeszcze w r. 1892 nawoływał do zabezpieczenia bytu postarzałym i okaleczonym rzemieślnikom, którym starość lub nieszczęśliwy wypadek wytrącają częstokroć kawałek chleba z ręki; inicjatywę swą rzucił p. M. Kłyszewski w czerwcu 1892 r. na posiedzeniu sekcji rzemiosł Tow. popierania przemysłu i handlu, a gdy ówczesne prezydjum tej sekcji, w osobach p.p. A. Makowieckiego, Otwinowskiego i J. Keppego, wniosek gorliwie poparło, jesienią tego roku 1892 wybrano delegację, któraby wniosek w czyn wcieliła. Delegacja, w osobach inicjatora p. M. Kłyszewskiego oraz p.p. Wł. Czosnowskiego, K. Szlenkiera, J. Juszczyka, Al. Temlera, Br. Michalskiego, Al. Feista i T. Wernera, zaprosiwszy do wspólnej pracy p.p. Jana Szlenkiera i adw. prz. Leopolda Świderskiego, postanowiła projekt rozszerzyć, tworząc przytułek nietylko dla rzemieślników cechowych, lecz i dla postarzałych robotników fabrycznych, uchwaliwszy przytem, iż każdy fabrykant lub przemysłowiec może umieszczać swych kandydatów, gdy złoży conajmniej rb. 1000 na budowę, przyczem za każde 1.000 rb. rezerwuje się dlań 1 miejsce w przytułku. Postanowiono też, że za każdego pensjonarza trzeba opłacać rb. 100 rocznie lub rb. 500 jednorazowo, oraz że przytułek w miarę możności utrzymywać będzie pensjonarzy bezpłatnie, łożąc na nich z własnych zasobów. W styczniu r. 1893 zatwierdzono instrukcję dla przytułku, poczem delegacja, posiadając już rb. 26000., utworzyła umyślny wydział przy W. T. D., co gdy się stało i gdy fundusze dosięgły rb. 30.000, zakupiono za rb. 18.500 posiadłość przy ul. Młynarskiej № 29/31 (za rogatką Wolską), zajmującą 27.000 łokci kwadratowych. Na placu tym otwarto też w październiku r. 1896 przytułek prowizoryczny dla 15 pensjonarzy w dwu stojących tam podówczas domkach. Ceremonji poświęcenia dokonał wówczas ks. proboszcz parafji wolskiej Władysław Sieniarski, a gdy p.p. Jan Szlenkier i Juszczyk podkreślili w swych przemówieniach, słusznie zupełnie, iż poprzestać na tem się nie godzi, posypały się wnet nowe deklaracje na stałe zapomogi doroczne, poczem postanowiono wznieść na zakupionym placu nowy gmach trzypiętrowy o 8 oknach frontu. Kamień węgielny pod ten budynek położono w d. 27 września r. 1899, w obecności prezesa przytułku p. J. Szlenkiera, wiceprezesa i inicjatora p. M. Kłyszewskiego, oraz p.p. adw. prz. A. Suligowskiego, Makowieckiego, Rzętkowskiego, Bednawskiego, St. Pfeiffra, Czosnowskiego, Juszczyka, Świderskiego, Rentla, Wywijanka, Fröhlicha, Blechschmidta, Przybyszewskiego, Fitzkego i innych, którzy bądź czynnie, bądź materjalnie wspierali zakład rzeczony, a uroczystości poświęcenia fundamentów dopełnił ks. Karol Bliziński, wikarjusz parafji N. M. Panny na Lesznie, w asystencji ks. Feliksa Czosnowskiego. Budowę tego gmachu (oficynowego) ukończono w d. 16 października r. 1900 i tegoż dnia odbyło się poświęcenie przytułku przez ks. arcybiskupa Wincentego Popiela w asystencji księży: Siewierskiego, Kakowskiego i Blizińskiego, a wobec

prezesa W. T. D. Macieja ks. Radziwiłła, prezesa Kiślańskiego, prezesa wydziału wsparć Fr. Rydzykowskiego, wiceprezesa wydziału starców i kalek J. Jamonta oraz p.p. St. Pfeiffra, Szlenkiera, M. Kłyszewskiego i innych. Budynek, poświęcony wówczas, wybudowany został przez budowniczego Ant. Stalińskiego systemem korytarzowym; mieści on w suterynach jadalnię i kuchnię, na parterze 4 sale, o 2 oknach każda, dla 5 pensjonarzy; na pierwszem drugiem i trzeciem piętrze zaś znajdują po trzy sale dwuokienne, każda z osobnem wyjściem na korytarz. Niezwykle nizkie koszta budowy owego gmachu oficynowego wyniosły zaledwie rb. 20.000; tłomaczy się to tem, iż wiele bardzo potrzebnych materjałów dostarczono bezpłatnie, wiele robót wykonano zupełnie bezinteresownie.

Obszerny plac pozwala na wzniesie nowych jeszcze gmachów oraz na znaczne rozszerzenie przytułku, zwłaszcza, że potrzebujących schroniska nie brak nigdy. To też, jak nas informowali twórcy rzeczonego przytułku, grono ludzi dobrej woli krząta się i zabiega by, zgromadziwszy nieco grosza, znów rzucić innym piękny przykład do naśladownictwa. Ci zaś, którzy przytułek powołali do życia, nie chcą bynajmniej ustać w połowie drogi.

Skoła Sztuk Pięknych.

Z początkiem roku szkolnego 1913/14 warszawska Szkoła Sztuk Piętnych, jak dotychczas ubożuchna komornica, w dodatku dotknięta pogorzelą, — pozyska wspaniały gmach na własnosć. W ubiegłym tygodniu na rogu ul. Tamki i Bulwarowej, nad Wisłą, odbyła się właśnie uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod szkołę sztuk pięknych im. Stanisława Kierbedzia, którą, w wykonaniu woli męża, sumptem własnym, wznosi p. Eugenja Kierbedziowa. Podczas uroczystości tej obecni byli na miejscu: przedstawiciele Tow. Zachęty Sztuk Pięknych, twórca projektu, budowniczy, p. Gravier i t. d.; aktu poświęcenia dokonał ks. Sikorski. Gmach będzie dwupiętrowy, na antresoli mieścić się ma oddział sztuki stosowanej, na parterze—obszerna aula, na pierwszem piętrze — pięć pracowni malarskich, wreszcie na drugiem—pracownie architektoniczne. Przed frontem szkoły założony zostanie pełen światła ogród, a całości dopełniać będzie wspaniały widok na Wisłę.



Włosi zaatakowali cieśninę Dardanelską po raz drugi. Tym razem wysłali tam oddział torpedowców. Turcy spostrzegli atak i silnym ogniem z baterji nadbrzeżnych zmusili torpedowce włoskie do odwrotu. Według zapewnień tureckich, dwa torpedowce włoskie zatonęły przy tej okazji; włosi jednak przeczą temu.

I na tem koniec.

Jaki był cel ataku włoskiego na Dardanele, trudno zrozumieć. Według zapewnień urzędowych włoskich, miał to być „rekonesans“. W podobnych wypadkach jednak zapewnienia urzędowe najmniej są wiarogodne.

Prawdopobniejsze jest przypuszczenie, że energiczny ten krok był zręcznie obmyślaną zasadzką, w którą jednak Turcja wciągnąć się nie dała. Od dawna już rząd turecki zapewniał z całą stanowczością, że w razie zajęcia przez Włochów jakiejkolwiek jeszcze wyspy na morzu Egiejskim, lub w razie ataku na Dardanele, cieśnina zostanie zamkniętą, a tem samem komunikacja handlowa z morzem Czarnem ulegnie przerwaniu.

Tego rodzaju przerwa dotkliwą byłaby dla handlu rosyjskiego. Nie ulega wątpliwości, że Rosja, w razie zamknięcia cieśniny, zmuszona byłaby wystąpić w sposób stanowczy przeciw temu zarządzeniu. Takie wmieszanie się Rosji do zatargu włosko-tureckiego byłoby wielce dla Włoch pożądanem, bo prawdopodobnie pociągnęłoby za sobą zbiorową interwencję mocarstw i, co za tem idzie, „honorowe“ zakończenie wojny.

Ale dyplomacja turecka okazała się nad podziw przewidującą. Ku [zdziwieniu całej Europy, wbrew bezustannie powtarzanym groźbom, Wysoka Porta zawiadomiła mocarstwa, że pomimo ataku włoskiego, Dardanelów nie zamknie.

W ten sposób pomysł włoski spalił na panewce. Zaczęło się z szumem i hukiem,—skończyło się na niczem. Zupełnie jak przystało na martwy sezon.

Czy w ten sam sposób skończy się wielki przewrót w rządzie tureckim? — przewidzieć trudno.

Do ważniejszych wypadków



Założenie kamienia węgielnego pod gmach Szkoły Sztuk Pięknych.

politycznych tygodnia ubiegłego zaliczyć należy wizytę ks. Katsury w Petersburgu. Ks. Katsura—to najwybitniejszy japoński mąż stanu. Jego pobyt nad Newą ma podobno na celu zawarcie przymierza między Rosją i Japonją. Podstawą nowego układu jest oddanie przeważnej części Mandżurji pod wpływy japońskie, pozostawienie zaś Rosji zupełnej swobody działania w Mongolji.

Koła urzędowe rosyjskie zaprzeczają wprawdzie istnieniu projektu podobnego przymierza. Łatwem jednak jest do zrozumienia, że tym, którzy traktat taki zawierają, wielce zależy na tem, by przed jego zawarciem jak najmniej o nim wiedziano. *h. m.*



W Sztokholmie odbywają się obecnie „Igrzyska Olimpijskie". W tych igrzyskach biorą udział przedstawiciele narodów całego świata. Król otworzył igrzyska, które są traktowane uroczyście. Europa, przeżywszy epokę średniowiecznego chrześciańskiego umartwienia ciała, następnie erę filozoficznej spekulacji, kiedy ciało również pozostawało w zaniedbaniu kosztem mózgu, teraz powraca do starożytnej maksymy: zdrowa dusza w zdrowem ciele. Nietsche uczył, że hygienę duszy należy rozpoczynać od hygieny ciała, czyli czystość myśli i uczuć powinna się mieścić w pielęgnowanem, czystem ciele. Nie jest, zaiste, prawdą, to co powiada jeden z bohaterów „Aktorek", komedji Krzywoszewskiego, że „czystość duchowa kobiety pozostaje w odwrotnym stosunku do jej czystości fizycznej"; bohater ten mówi tylko dowcipny paradoks i niema powodu dla jednego dowcipnego zdania zrażać się do... wanny. Dzisiejsza ludzkość, pojęła, że człowiek z ciała utworzony, musi to ciało wzmacniać, krzepić, bo to ciało — to on. Dwa lata temu Igrzyska Olimpijskie urządzał Londyn, obecnie oddaje hołd pracy nad uczynieniem człowieka wytrzymałym i silnym piąta Olimpiada w Sztokholmie.

V Olimpiada



Jackson — w 3 godziny przebiegł 1500 metrów

H. Kolehmainen nagroda II.



BAJKI.

KRAJ CZARÓW.

I.

Kiedym był dzieckiem
pamiętam raz,
przyszedł duch do mnie
nieziemskich kras.

Powiódł mnie w marzeń
tęczowy kraj,
gdzie wieczna wiosna,
gdzie wieczny maj.

Gdzie każda rzeka
miast srebrnych wód
ma fale z mleka,
a z cukru lód.

Kędy piernikiem
jest każdy głaz,
gdzie z ciastek góry,
pola i las.

Gdzie z czekolady
wznosi się gród,
a z głębi jezior
wytryska miód.

II.

Dziś przeminęło
już wiele lat
odkąd rzuciłem
ten rajski świat.

Lecz często myślą
ulatam w dal
i czarodziejskich
krajów mi żal.

Z lodowych cukrów
żal mi jest gór,
żal dolin z lukrów
i z kremu chmur.

Żal mi tych wszystkich
dziecinnych snów,
które przenigdy
nie wrócą znów.

I. Ejsmond.

Silniki „URSUS".

Towarzystwo udziałowe specjalnej fabryki armatur i motorów „Ursus", której specjalność stanowi wyrób silników „Ursus", uwzględniając wzrastający ciągle rozwój silników spalinowych, poruszanych również gazem ssanym, jako najtańszego współczesnego źródła energji mechanicznej, uznało za konieczne, chcąc sprostać wymaganiom rynku, otworzyć u siebie dział silników, pędzonych gazem ssanym, zastosowanym do antracytu lub koksu oraz torfu lub odpadków drzewnych. Dla zakładów przemysłowych w miastach, fabryka wyrabia silniki specjalnego typu, zastosowane do użycia gazu świetlnego jako siły popędowej, które zastąpiły w zupełności maszyny parowe. Stało się to dzięki niższej cenie opału i łatwiejszej

obsłudze, jakiej wymagają silniki „Ursus".

Zalety tych silników można w kilku słowach wyrazić, mianowicie odznaczają się one taniością kosztów pracy, natychmiastowem uruchomieniem, prostotą budowy, automatycznym dopływem ropy i smarów, zbytecznością obsługi, bezpieczeństwem ognia i wybuchu i t. d. Też same zalety posiadają przewoźne silniki „Ursus", lokomotywy zastosowane do celów rolniczych.

Najlepszym sprawdzeniem ich doskonałości jest nadzwyczajne wprost ich rozpowszeehnienie. W przeciągu niezbyt długiego czasu, bo od 1903 r., t. j. od czasu gdy Towarzystwo specjalnej fabryki Armatur i Motorów „Ursus" wyrabiać zaczęło silniki spalinowe „Ursus", rozeszło się ich więcej niż 2500 sztuk, czyli licząc przeciętnie około 245 sztuk rocznie.

TYPY I TYPKI.

PAN WYDAWCA.

Przybył do nas z Galilei,
Prawie boso, w nędzy, biedzie,
Ale pełen był nadziei,
Że mu dobrze się powiedzie.
Wkręcił się gdzieś do redakcji,
Będąc dziur u mostków znawcą,
A choć nie miał rent, ni akcji,
Wkrótce został tu wydawcą.

Dużo zmyśla, dużo gada,
Niestworzone baje klei,
Wszystkim wkoło opowiada,
Co on znaczy w Galilei.
Stąd to cieszy się kredytem
U bułkarza, szewca, krawca,
Swędem psim i lisim sprytem
Żyje sobie pan wydawca.

Pisma jego nikt nie czyta,
Ani możni, ani ciury,
On anonse jednak chwyta,
Obiecuje złota góry.
Słynie w drobnych kupców sferze,
Jako reklam, łask rozdawca,
Więc wciąż kogoś gdzieś „nabierze"
I naciągnie pan wydawca...

Kręcąc, idąc tak pomału
Od rzemyczka do konika,
Bywa blizkim kryminału
Czesto — lecz się zeń wymyka.
A gdy się poślizgnie noga,
Oszczędzi go los-łaskawca:
Do Galicji wolna droga,
Wnet tam czmychnie pan wydawca.

Krogulec.



Życie socjalne w pustyni.

Porucznik francuski Dennel zabił w okolicach Gribingni kaimana, który miał w żołądku węża boa, sześć i pół metra długiego. Węża zabił kaiman, kaimana zabił człowiek, człowieka... osaczają zwierzęta i mikroby afrykańskie: słowem wzajemne zabijanie się jest historją świata.



Młody, oswojony hipopotam, należący do jednego z francuzów mieszkających w Wysokiej Zambezji.



Arab, spostrzegający po raz pierwszy w życiu aeroplan na pustyni.

PRZYJACIELE.

Pies z koniem żyją czasami w stosunkach wielkiej zażyłości. Ale żeby pies przyjaźnił się z kanarkiem, o tem dowiadujemy się dopiero z niniejszej fotografji.



Poematy i tańce.

W paryskim teatrze *Chatelet* wystawiono dramat jednego z największych współczesnych poetów francuskich, ściślej zaś biorąc, belgijskich, dzieło Emila Verhaine'a p. t. „Helena Spartańska". Ten niepospolity utwór, odznaczający się przedziwnie pięknym wierszem, ma za treść tezę, iż piękno posiada siłę burzącą, destrukcyjną. W Helenie wszyscy się kochają; nie tylko jej mąż, nie tylko Parys trojański, ale nawet jej krewniacy i krewniaczki. To też dramat belgijskiego twórcy pełen jest kazirodztwa i zbrodni. Helena, pomimo, że wzbudza do siebie miłość, albo raczej właśnie dlatego, czuje się nieszczęśliwą. W którą stronę spojrzy, zapala miłością — nieodwzajemnianą serca męskie i kobiece. Bo i kobiety kochają Helenę miłością występną, zakazaną i karaną przez bóstwa greckie. Helena jest podwójnie nieszczęśliwą: dlatego, że nie może podzielać tak powszechnie wzbudzanych przez nią uczuć i dlatego, że nieszczęśliwie zakochani w niej mordują się wzajemnie, popełniają samobójstwa z rozpaczy i budzą przeciw sobie gniew bogów. Dekoracje do „Heleny Spartańskiej malował rosyjski artysta-malarz, słynny Bakst. Krytyka francuska tym razem dekoracje Baksta przyjęła wzruszeniem ramion. Są to dziwactwa. Malowane kopuły wieżyc przypominają zdala głowy ludzkie.



Emil Verhaine.



Ida Rubinstein.

Helenę grała znakomita tancerka rossyjska, Ida Rubinstein. Francuzi wiele mają do zarzucenia jej akcentowi. Był to debiut tancerki w roli dramatycznej, debiut naogół szczęśliwy. Tylko niepotrzebnie p. Ida wyszła w kruczowłosej peruce; lud helleński mówi wciąż o niej: „złotowłosa".

Inny rosyjski tancerz, Niżyński „odtańczył" nieporównanie piękny poemat Stefana Mallarme'ego p. t. „Popołudnie Fauna". Wielki rzeźbiarz XX wieku, August Rodin, ogłosił w „Matin'ie" nazajutrz po premierze panegiryk na cześć Niżyńskiego. Nazwał go geniuszem i posyła rzeźbiarzy, aby ci uczyli się gracji od tej żywej, natchnionej rzeźby, jaką rzekomo jest Niżyński.

Z filatelistyki.

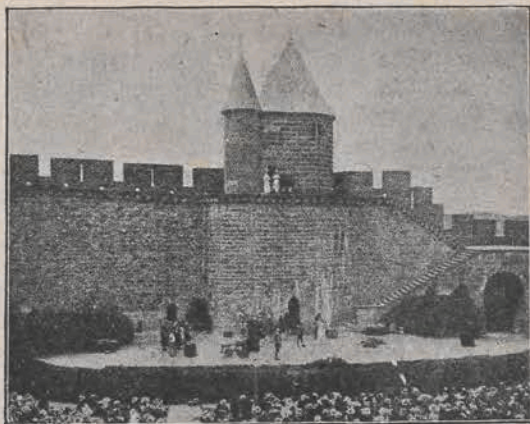
Dotychczasowe marki pocztowe rosyjskie odznaczyły się dość prostym, niewyszukanym rysunkiem z orłem państwowym po środku. Obecnie z okazji jubileuszu domu panującego wypuszczoną zostanie nowa serja marek, których wzory zostały ostatecznie zatwierdzone. Marki jednokopiejkowe koloru pomarańczowego ozdobione będą portretem Piotra Wielkiego, dwukopiejkowe zielone — portretem Aleksandra II; na różowych trzykopiejkowych pomieszczony będzie wizerunek Cesarza Aleksandra III, czterokopiejkowe czerwonego koloru będą z portretem Piotra I, na siedmiokopiejkowych i dziesięciokopiejkowych markach odbity będzie portret Najjaśniejszego Pana Mikołaja II, 14-kopiejkowe (koloru oliwkowego) będą z portretem Katarzyny II, na piętnasto kopiejkowych koloru jasnobronzowego ma być pomieszczona podobizna Cesarza Mikołaja I, dwudziestokopiejkowe marki będą ozdobione portretem Aleksego Michałowicza; 25-kopiejkowe (koloru oliwkowego) będą z portretem Cesarza Aleksandra I; na 35-kopiejkowych koloru ciemnobłękitnego będzie portret Ces. Pawła I; na bronzowych półrublowych markach ma być portret Elżbiety Piotrówny; 70-kopiejkowe (blado zielone) ozdabiać będzie portret Michała Teodorowicza, wreszcie na markach rublowych będzie odbita podobizna pałacu zimowego.

Format marek tej nowej serji (jubileuszowej) będzie cokolwiek większy od dotychczasowej, rublowe zaś będą formatu podłużnego w rodzaju marek pocztowych Stanów Zjednoczonych.

Filateliści cieszą się już zawczasu, że zbiory swoje pomnożą nowymi okazami, a pociechy tej potrzebowali z powodu hiobowej dla nich wieści, że rządy państw noszą się z myślą



Ida Rubinstein.



CARCASONNE: Teatr w powietrzu.

skasowania zupełnie marek pocztowych, zastępując ich automatycznemi stemplami. Zanim jednak ta reforma zostanie wprowadzoną nie jedna jeszcze nowa serja marek pocztowych powiększy ich zbiory.

CARCASSONNE.

Najznakomitsi artyści komedji francuskiej, Magdalena Roche, Janina Remy i Marcelina Frappa, piękna tragiczka, obdarzona niezwykle dźwięcznym głosem, wezmą udział w przedstawieniu „Cyda“ Corneille'a, nazajutrz zaś w mało znanym utworze Coppée'go p. t. „Severo Torelli“ — ale nie w Paryżu. Obydwa przedstawienia zostaną odegrane w prześlicznej miejscowości, w jednym z najstarszych miasteczek, w obwarowanem Carcassone, które pamięta dwadzieścia wieków historji francuskiej. Carcassonne stawia przed oczami wyobraźni dzisiejszego francuza jego dzielnych poprzedników, którzy zajmowali niegdyś tę ziemię: Gallów, Rzymian, Wizygotów, Saracenów, Franków!.. Piękny przeciąg czasu: dwa tysiące lat!

Ś. p. Juljan Małecki.

Dn. 16 b. m. zmarł w Warszawie Juljan Małecki, założyciel i właściciel pierwszej u nas w kraju fabryki fortepianów, egzystującej od 1857 r.

Ś. p. Małecki już w pierwszych latach istnienia fabryki doprowadził produkcję fortepianów do wysokiego poziomu wymagań artystycznych, nieustępując pod tym względem najpierwszym firmom zagranicznym, i w 1867 r. na wystawie wszechświatowej w Paryżu odznaczony został srebrnym medalem za fortepian, na którym Cesarzowa Eugenja, zwiedzając wystawę, grała. W kilka lat młodą firmę spotyka drugie zaszczytne odznaczenie, mianowicie Warszawskie Konserwatorjum w uznaniu wzorowej dobroci instrumentów produkowanych przez firmę Małeckiego nadaje mu tytuł „uprzywiljowanego dostawcy konserwatorjum warszawskiego“, odpowiednią odezwę podpisali: Apolinary Kątski i Stanisław Moniuszko. Z biegiem lat fabryka udoskonalała się pod nieustannym i fachowym dozorem zmarłego, który do końca swego życia pracował w umiłowanym zawodzie.



Ś. p. Juljan Małecki.

Ś. p. Małecki pozostawia pamięć zacnego człowieka, dobrego chlebodawcy i pożytecznego członka społeczeństwa, położywszy duże zasługi na polu przemysłu krajowego. Osierocił żonę i syna Stanisława, od lat 20-tu współpracownika swego ojca.

Kule znów świszczą.

Nowe zabójstwo! To wywołało wrażenie wstrząsające. W Częstochowie padł ofiarą młody i niezwykle zdolny dyrektor „Huty Częstochowskiej“ inż. Marjusz Bojemski.

Dn. 22 b. m. dyrektor Bojemski wraz z siostrzeńcem swoim, p. Łabędzkim i naczelnikiem biura fabrycznego p. Starzyńskim powracali konno z przejażdzki, gdy pod miastem wyskoczyło z zarośli dwuch ludzi i rozpoczęło kanonadę.



Marjusz Bojemski. *Fotogr. „Świteź“.*

Dyrektor Bojemski ugodzony kilkoma strzałami, osunął się z konia, towarzysz jego p. Łabędzki raniony został w nogę, konie zaś obu t. j. p.p. Łabędzkiego i Starzyńskiego, wystraszone poniosły, zdołano ich zatrzymać dopiero około szpitala w Rakowcu, zkąd wysłano pomoc dyr. Bojemskiemu, którego przeniesiono do szpitala, w kilka jednak chwil potem dyr. Bojemski skonał, nie odzyskawszy przytomności.

Zabójstwa dokonano na tle ekonomicznem. Przy zabitym stwierdzono brak złotego zegarka, portfelu, papierośnicy, które prawdopodobnie zrabowali napastnicy dla odwrócenia od siebie podejrzeń. Władze śledcze podejrzewają, że morderstwa dokonali wydaleni w swoim czasie robotnicy „Huty Częstochowskiej“.



Tancerz Niżyński.

To i owo, a właściwie ani to, ani owo.

Kanikuła weszła w swoje prawa i działa całą pełnią swej bezczynności i próżni. Publiczność stała się tak leniwą, że do czytania pism zmusić ją może chyba nadzwyczajna awantura, a tu jak na złość sprawcy sensacji również zmęczeni, trwają w bezrobociu. Naprożno chciałoby się wynaleźć choćby maleńkiego Ronikierka, Macoszka, lub ostatecznie Tytaniczek. Reporterzy zagraniczni mają na ogórki specjalną receptę. Sami donoszą o własnej swojej śmierci, naturalnie w tragicznych okolicznościach, piszą sobie nekrologi, a wreszcie prostują tę wiadomość, jako „przedwczesną". U nas klejnotem ogórkowym są kosztowności jasnogórskie. Donosi się naprzemian z Berlina, że klejnoty znaleziono w Paryżu i odwrotnie, zamieszcza się wywiad z policją niemiecką i francuską, wyraża jej się wdzięczność „całej Polski" za to, iż grzecznie odpowiada, że... nic nie wie, a wreszcie następuje sprostowanie.

Poza cudem klejnotowym, kanikuła obdarza nas cudnymi klejnotami w dziedzinie odkryć i wynalazków, najczęściej z zakresu biologji i medycyny, może dlatego, że na tem publiczność najmniej się rozumie. W sezonie bieżącym tych cudów mamy, jak dotychczas, trzy. Miecznikow, zapomocą psiego mikrobu, chce zniszczyć wszelkie choroby i niemal zapewnić nam nieśmiertelność. Ktoś znowu dowodzi, że bicie serca może się odbywać, jeżeli nawet serce usuniemy z ciała ludzkiego. Wreszcie jakiś profesor wynalazł preparat rozrodczy, zapomocą którego kobieta może zostać matką wcale nie wychodząc zamąż... nawet nieślubnie. W ten sposób, podczas gdy my głupi próżniacy leniwie myślimy w letniskowym hamaku po niestrawionych kluskach i nieudanej *randce* z boną od sąsiedztwa, medycy nie próżnują i wynajdują „sztuczki" zmierzające do przekształcenia całego świata.

Bo pomyślcie tylko: rozstrzygnięte zostają najważniejsze zagadnienia życia: miłość, zdrowie i zależność płci. Po wprowadzeniu do naszej kiszki psiego mikrobu nietylko ustaną wszelkie choroby, ale i kwestja pokarmu: gnaty, trawy, psie salcesony, stare podeszwy, a nawet befsztyki knajp warszawskich staną się smakołykami. Następnie, skoro serce bijące dla Józi będę mógł wyrzucić, ażeby sobie biło poza mną, i wstawię serce bijące dla Zuzi, ustaną dramaty miłosne. Wreszcie „preparat rozrodczy" usunie zamążpójście, a więc i posag, stroje, gorsety, wprawione zęby, postisze, pudry i t. d. Na wyludnienie będziemy mogli gwizdać; wydawany z państwowej apteki preparat powoła na świat potrzebną liczbę obywateli, które żywić będzie państwo... staremi podeszwami.

Nie sądźcie jednak, czytelnicy, że wynalazki te są płodem rozigranej bezczynnością fantazji reporterów, bo oto życie potwierdza ich niewątpliwą realność. Działanie psiego mikrobu potwierdza dostatecznie zjawienie się na horyzoncie politycznym już 25-go z rzędu przedstawiciela „braci" Mannesmanów, którzy tylko przez obłudę niemiecką nie nazywają się Frauensmanami. Bezustanna zmiana serc, ujawnia się nietylko w przygodach miłosnych, lecz i kinematograficznej niemal zmianie sympatji pomiędzy wielkiemi mocarstwami. Pozatem, jako rezultat obu tych wynalazków, daje się zauważyć niezależność od nas płci pięknej, poprostu zdumiewająca. Już nietylko w postępowej Anglji sufrażystki wybijają ministrom szyby i włażą do parlamentu przez komin, ale i u nas w Warszawie kobiety wypowiedziały mężczyznom „wojnę morską" i utworzyły oddzielny klub wioślarek. Zdawałoby się, że w tak chłodzącym namiętności żywiole, jak woda, mogłaby już być jedność, ale chodzi widać o manifestacyjne stwierdzenie, że obecnie *"ster dzierży"* kobieta zarówno na lądzie, jak i na wodzie.

Co do psiego mikrobu, to stosowany on zostaje niewątpliwie na naszych pensjonatach letniskowych, gdyż inaczej nie pojąłbym, w jaki sposób „zdechlak" warszawski nie tylko pozostaje tam przy życiu, lecz nawet się „poprawia", skoro karmią go nietylko psiemi salcesonami i staremi butami, lecz nawet czemś, co i psu na buty się nie zda. Nie wiem tylko, czy nawet psi mikrob zdoła pokonać liczne mikroby, znajdujące się w letniskowej niefiltrowanej wodzie.

Ale dość o wodzie, bo choć przy upale każdy łaknie wody, lecz nie wody... dziennikarskiej. Dobrze więc uczyniła redakcja „Prawdy", która zamiast naciągniętej teraz *wodnistej* polityki poświęciła cały numer „Urodzie Życia" Żeromskiego. Nie jest to bowiem zwykła powieść, jeno współczesna epopeja polska, która odtwarza nasze życie społeczne we wszystkich jego szczegółach. Analiza i synteza naszego życia narodowego jest może jedynym realnym czynem politycznym, na który zdobyć się można w obecnych „psich czasach" sezonowych i „psich czasach" społecznych.

Nawet do bojkotowania badów pruskich przestaliśmy nawoływać, lecz raczej przeciwnie, niemal zachęcamy do wyjazdu do niemieckich Zoppot, w celu... uświadomienia kaszubów. Popełnię więc może herezję, jeźli powiem, że w praktyce odbywa się raczej w „Familjenbadzie" uświadomienie kaszubek, które zresztą... uświadomienia nie potrzebują.

Hum.

Szczególniejszy rezultat.

1 × 9 + 2 = 11
12 × 9 + 3 = 111
123 × 9 + 4 = 1111
1234 × 9 + 5 = 11111
12345 × 9 + 6 = 111111
123456 × 9 + 7 = 1111111
1234567 × 9 + 8 = 11111111
12345678 × 9 + 9 = 111111111

albo:

1 × 8 + 1 = 9
12 × 8 + 2 = 98
123 × 8 + 3 = 987
1234 × 8 + 4 = 9876
12345 × 8 + 5 = 98765
123456 × 8 + 6 = 987654
1234567 × 8 + 7 = 9876543
12345678 × 8 + 8 = 98765432
123456789 × 8 + 9 = 987654321

Gody weselne.

Dn. 17 b. m. w kościele p.p. Wizytek, w czasie mszy rzymskiej, ks. prałat Siemiec, w asystencji licznego kleru pobłogosławił związek małżeński księżniczki Wandy Czetwertyńskiej, najmłodszej córki ks. Włodzimierza, prezesa Towarz. Kred. Ziemskiego i Marji z hr. Uruskich z p. Andrzejem hr. Żółkowskim, synem hr. Marcelego, właściciela dóbr Godurowa w Ks. Poznańskiem i Ludwiki z hr. Czarneckich. Po ślubie rodzice panny młodej podejmowali gości w pałacu swoim na Krak. Przedmieściu t. zw. pałacu Uruskich. Do stołów zasiadło przeszło 200 osób.

Państwo młodzi po uroczystościach ślubnych wyjechali do dóbr Wola Pawłowska w ziemi Kieleckiej, nabytych niedawno przez hr. Andrzeja Żółtowskiego.



Nowożeńcy: hr. A. Żółowski i ks. W. Czetwertyńska.

Przegląd czasopism.

„Sfinks" — zeszyt podwójny za maj i czerwiec, zawiera wiele ciekawych artykułów, dalszych ciągów i dokończeń powieści. Ignacy Chrzanowski w artykule czołowym rozbiera „stan duszy" Zygmunta Krasińskiego z strasznego roku 1846. („Resurecturis" i Psalm dobrej woli") „śmierć jakaś wskroś przeszyła mi żyły wszystkie"—pisał Krasiński do Małachowskiego. Ignacy Chrzanowski stwierdza, że „po raz pierwszy w jego (Krasińskiego) poezji ukazuje się tak jasno wyrażone (w „Resurectusis") nie tylko już pojęcie, ale i przykazanie ofiary. „Myśl przewodnia całego utworu zamyka Krasiński w słowach:

Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie —
Oto dziejów lew!

I profesor Chrzanowski mówi od siebie „A gdzież pewność, że podjęta przez Polskę ofiara wywalczy sprawiedliwości tryumf, że się stanie naprawdę Golgotą dla ludzkości (jak to marzył autor Irydjona), że będzie „lwem dziejów"?

„Nie, na taki program nie wolno nam przystać!"

Całego artykułu streszczać niepodobna; zwracamy tylko nań uwagę, i odsyłamy ciekawych do „Sfinksa".

Wł. Bukowiński ogłasza dalej studjum p. t. „Bolesław Prus, jako powieściopisarz". Stanisław Przybyszewski drukuje dalszy ciąg, blizki już końca, znakomitej powieści p. t. „Mocny człowiek". Dr. Bronisław Biegeleisen, umieszcza niezwykle aktualny artykuł p. t. „Wpływ filozofji Bergsona na współczesną literaturę francuską". Julja Dicksteinówna wytwornym piórem w dalszym ciągu kreśli rzecz nazwaną „Nieboska — Irydjon". D-r Adolf Chybiński daje pracę o Karolu Szymanowskim". Zuzanna Rabska artykuł p. t. Malarz wzruszenia intelektualnego" (tytuł dość... paradoxalny; tematem artysta F. Khnopff). P. L. Stępowski przekłada nowelę Gorkiego p. t. „Człowiek". Eljan umieszcza d. c. powieści „Jak odłamana gałąź". Kazimierz Gliński „Z nocy bezsennych". L. Jahołkowska-Koszutska: „Z oddali" (dokończenie).

Na dział poezji składają się poeci: Leon Rygier, Wł. Bukowiński, J. Lipińska, Marja Markowska, R. Kreczmar, M. Czerkawska, J. Fryling, M. Kasterska, St. L. Kociemski W. Melcer-Szczawińska. Z Musseta znajdujemy w Sfinksie piękny przekład pióra Wł. Nawrockiego „Noc majowa". Wreszcie następuje ożywiony dział „Przeglądy i sprawozdania".

Zeszyt jest suto i ze smakiem ilustrowany.

MODA.



Najmodniejszy żakiet.

Odpwiedzi Redakcji.

Wielebnemu ks. Prałatowi N. Serdecznie dziękujemy za łaskawe poparcie. Z życzliwej rady nie omieszkamy skorzystać. Żądane książki wysyłamy.

W. P. Jankowskiemu w Dąbrowie Górniczej. Pismo nasze pod wskazanym adresem wysłaliśmy. Oczekujemy przybycia Sz. Pana, celem osobistego porozumienia się.

Panu Salezemn R. Nie radzimy.

P. J. D. Wiersz nie bez wdzięku, ale forma szwankuje. Talent jest—trzeba pracować.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu,	rocznie rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—	Numer pojed. kop. 10, halerzy 25.
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ 4.60	„ 2.30	„ 1.15	
Za granicą i za oceanem	„ 5.—	„ 2.50	„ 1.25	
W Austrji i Galicji	„ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.	Zmiana adresu—20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 kop. **Reklamy**—40 kop. **Ogłoszenia** na 3 str. okładki 20 kop. **Na 4 str. okładki**—30 kop.

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 9 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień".

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Feliks Kwaśniewski**. Kierownik liter. **Wacław Grubiński**.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.